Opłata pocztowa opłacona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Ambona (z cyklu: Polesie). Fot. Andrzej Dobrski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 9 (664) 27 LUTEGO 1932 R.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



Śniadanie myśliwskie. P. Prezydent R. P. w dobrach książąt Sanguszków, dnia 1 lutego r. b. Fot. W. Pikiel.

W SPRAWIE REZERWATÓW.

(Odpowiedź p. prof. J. Domaniewskiemu).

Jeżeli jestem zdecydowanym przeciwnikiem rezerwatów, to mam po temu szereg ważnych powodów, które tutaj chciałbym w sposób jasny Sz. Czytelnikom przedstawić. Muszę więc przedewszystkiem wyraźnie zaznaczyć, jak to już w artykule, poświęconym sprawie ochrony zwierząt w porze godowej, podkreśliłem (Ł. P. z 1931 r. Nr. 50), że jestem przeciwnikiem zakładania rezerwatów, mających na celu ochronę fauny, gdy odwrotnie — jestem gorącym zwolennikiem rezerwatów, mających na celu ochronę flory. Faunę, zdaniem mojem, dobre ustawodawstwo łowieckie, połączone z oddaniem rewirów we właściwe ręce nietylko od zagłady i degeneracji uchronić, ale i do kwitnącego stanu doprowadzić potrafi. Taki jest mój zasadniczy pogląd na sprawę. Uzasadnienie go należyte jest zadaniem niniejszego artykułu.

Prof. Domaniewski pisze: „W jakim celu zakładamy rezerwaty? W celu zachowania przyrody w postaci niezmienionej i to właśnie stanowi istotę rzeczy". Ale w tym samym artykule prof. Domaniewski przyznaje, że osiągnięcie tego celu całkowicie i pozostawienie wszystkiego niczem nieskrępowanej grze sił przyrody nie jest już możliwe. „W każdym razie, pisze prof. Domaniewski, naszą gospodarkę w rezerwatach powinniśmy ograniczyć do minimum". Najzupełniej podzielam ten pogląd i stanowisko. Ale co to oznacza? Że gospodarkę łowiecką wszędzie, choćby w ograniczonym zakresie, nawet w rezerwatach, prowadzić trzeba. Pogląd ten wyraźnie zaznacza sam prof. Domaniewski.

Na czem więc polega różnica naszych stanowisk? Wszak i ja nie żądam niczego więcej nad dobre ustawodawstwo łowieckie i dobrą gospodarkę łowiecką. Różnica polega na uznaniu potrzeby wyłączenia pewnych obszarów z pod rządu zwykłej, prawidłowej gospodarki łowieckiej, odebraniu tych terenów myśliwym, nie posiadającym rzekomo dostatecznych do prowadzenia w nich należytej gospodarki kwalifikacyj i powierzeniu tej gospodarki innym, kompetentniejszym czynnikom.

Tego właśnie stanowiska ja osobiście zupełnie nie podzielam.

Jestem, jak wspomniałem wyżej, gorącym zwolennikiem tworzenia rezerwatów, mających na celu ochronę naszej flory. Powiem więcej: wszystkie na-

sze obszerne puszcze chciałbym widzieć zamienione na rezerwaty, t. j. obszary, pozostawione wolnej grze przyrody. I to nietylko dlatego, aby, jak pisze prof. Domaniewski, zachować podłoże, na którem można uprawiać myślistwo. Jest to z myśliwskiego punktu widzenia wzgląd poważny, ale nie najważniejszy. Najważniejszy jest ten, że bez zachowania tych puszcz w możliwie najdzikszym stanie nie zachowamy istnienia tych przedstawicieli naszej fauny, których koniecznie mianem pomników przyrody utytułować chcemy, a których ja chciałbym od tego zaszczytu uchronić.

Wszak jedno nieopatrzne osuszenie bagna, czy w inny sposób spowodowana przez człowieka na pewnym obszarze zmiana lub zniszczenie szaty roślinnej — to przeważnie masowy na tym obszarze wyrok zagłady na całą związaną swem bytowaniem z tą szatą roślinną faunę.

Może się komuś wydać, że stanowisko moje jest nierealne i że poważne gospodarcze względy zmuszają w nieubłagany sposób i prowadzą do takiej ingerencji człowieka.

Otóż tak nie jest. Współczesna nauka leśnictwa wypowiedziała się zupełnie wyraźnie przeciwko wszelkim usiłowaniom narzucania w sztuczny sposób szaty roślinnej pewnym obszarom. Zarzuciła ona też pojęcie drzew użytecznych i „chwastów leśnych" doszedłszy do przekonania, że każda roślina w danej asocjacji jest potrzebną, odgrywa w niej swoją rolę i stwarza podłoże dla rozwoju lasu w przyszłości. Również wypas bydła został bezwzględnie uznany za niszczący glebę i szkodliwy dla rozwoju lasu. Słowem okazało się, że las tam się naogół najlepiej rozwija, gdzie człowiek do jego rozwoju najmniej się wtrąca. Ingerencja człowieka naogół tam tylko jest potrzebna, gdzie chodzi o naprawienie, zazwyczaj bardzo kosztowne, własnych, popełnionych przezeń błędów, lub skutków żywiołowych katastrof, a więc nadmiernych, na zbyt wielkich obszarach dokonanych wyrębów, pożarów leśnych i związanego z tem wyniszczenia gleby, co wszystko razem utrudnia odnowienie lasu w drodze samosiewu i dalszy jego wzrost.

Postulaty więc ochrony przyrody i niektórych zagrożonych wyginięciem gatunków zwierzyny łownej najzupełniej się godzą z postulatami prawidłowej gospodarki leśnej i z ogólnemi względami gospodarczemi. Nie wszyscy też wiedzą, że państwo nasze jest na swych wschodnich kresach właścicielem szeregu puszcz, zajmujących dziesiątki i setki tysięcy hektarów powierzchni, podzielonych nominalnie na nadleśnictwa, w istocie zaś zawierających obszary, które nie wszystkie lasem możnaby nazwać, a na których ręka człowieka mimo wszystko nie wiele się jeszcze dała we znaki, i obejmujących asocjacje roślinne takie, jakie były na tych obszarach od niepamiętnych czasów. Od Grodna do Wilna ciągnie się niemal nieprzerwanie olbrzymi obszar lasów o powierzchni przeszło dwustu tysięcy hektarów, składający się na szereg nadleśnictw państwowych i puszcze: Grodzieńską, Ruską (Bersztowską), Rudnicką. Sama Nalibocka puszcza obejmuje obszar około sześćdziesięciu tysięcy hektarów. I takich puszcz o podobnych lub mniejszych obszarach mamy jeszcze pozatem bardzo dużo.

Nie mogę się zgodzić z poglądem prof. Domaniewskiego, że puszcze te mają być skazane na coraz szybciej postępującą utratę ich charakteru. Podobny pogląd wypowiadał przed laty ś. p. Stanisław Rewieński w swym „podręczniku dla myśliwych", zapowiadający, że niedźwiedź, żubr, łoś i głuszec skazane są w bliższej lub dalszej przyszłości wraz z zamieszkałemi przez nie puszczami na nieuniknioną zagładę.

Grunty pod temi puszczami to albo liche piaski, albo mokre, torfiaste rojsty, które jedynie sama natura jej tylko dostępnemi środkami potrafi pokryć odpowiednią, bujną nieraz wegetacją. Wszelkie usiłowania „meljoracji" tych gruntów lub obrócenia ich pod kulturę rolną zgóry skazane są na niepowodzenie. Osuszenie takich gruntów to tylko stworzenie, częstokroć problematyczne, lepszych warunków dla wzrostu lasu, połączone zresztą ze skazaniem na zagładę dotychczasowej szaty roślinnej i z oczekiwaniem, bodaj przez zgórą sto lat, na wyniki takiej meljoracji. Widziałem takie osuszone przed laty rojsty, które jednak, pomimo kilkunastu lat działania osuszenia, wyglądu swego nie zmieniły.

A za lekkomyślne obrócenie pod kulturę rolną takich osuszonych lub wyrąbanych obszarów natura przeważnie mści się srogo. Widziałem, a i dziś jest jeszcze do obejrzenia koło stacji Jaszuny część Rudnickiej puszczy, wyprocesowana od rządu i po wyrąbaniu lasu obrócona na „reformę rolną". Cztery kilometry kwadratowe tokowiska głuszcowego zostały również obrócone na ten cel. Na ciemnobrunatnym, koloru starej zmurszałej cegły piasku, który tylko przepotężna natura umiała doniedawna pokrywać wspaniałemi borami, widziałem usiłujące rosnąć źdźbła żyta i seradeli. Nie rokowały one urodzaju; i z czego mieli żyć „właściciele" tych gruntów — nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Wielu z nich rzuciło też podobno swe „nadziały", a cała sprawa rozparcelowania tych gruntów miała, jak mi mówiono, znaleźć swój epilog w sądzie karnym. Tak mści się puszcza za uczyniony nad nią gwałt.

Przeciwnie, zostawiona samej sobie, umie ona leczyć najcięższe nawet zadane jej rany.

Wiele z tych puszcz było areną zmagań w czasie wojny światowej. Co więcej, znalazły się one na linji istniejącego w ciągu kilku lat na ich obszarze nieruchomego frontu. W Komajskiej puszczy, na zachodnim brzegu oblewającej ją rzeczki Komajki, znajdowały się w ciągu kilku lat pozycje wojsk niemieckich, samą zaś puszczę zajmowały wojska rosyjskie.

Wszystkie niemal większe drzewa zostały użyte na budowę dróg t. zw. „mostówek" lub postrzelane pociskami artyleryjskiemi. Zwierzostan oczywiście doszczętnie został wyniszczony. Ale skończyła się wojna; puszcza pokryła się w drodze samosiewu gęstą szczotką młodych, dziś już kilkunastoletnich drzewostanów, i znowu ciemnieje długą linją na horyzoncie — młoda, zielona, piękna, triumfująca, pełna znów głuszców, cietrzewi, jarząbków, bielaków, wilków i rysi! Podobnie dzieje się wszędzie, gdzie puszcze uległy zniszczeniu wojennemu. Lasy bowiem na naszych kresach odnawiają się znakomi-

cie same. Mimowoli przy rozmyślaniu nad tem wszystkiem nasuwa się okrzyk Kiplinga: „Puszcza jest wielka, tyś mały; pomyśl, a przyjdzie pokora"!

Najpoważniejsze więc, a przedewszystkiem gospodarcze względy, szczególniej w związku z kryzysem intensywnej gospodarki rolnej, nie rokującym rychłego końca, nie przemawiają bynajmniej zatem, aby zachodziła potrzeba zmniejszenia powierzchni lasów, w szczególności puszcz naszych; wręcz przeciwnie — nastręcza się raczej kwestja zwrócenia lasom wielu z tych przestrzeni, które im nieopatrznie wydarte zostały. Trudno też sobie wyobrazić, coby na miejsce tych puszcz i lasów być miało. A jeśli tak, to nie pora cofać się na ostatnią obronną linję rezerwatów, a raczej w drodze umiejętnego uzgodnienia postulatów gospodarki leśnej i wymogów ochrony przyrody i łowiectwa rzucić hasło rozumnej ochrony puszcz naszych, przed wszelkiemi zakusami barbarzyńskiego ich traktowania. Wyjdzie to przedewszystkiem lasom na dobre. Obroniwszy puszcze, napewno obronimy skutecznie wszystkich kandydatów na „pomniki przyrody".

Muszę przyznać, że wyraz „rezerwat" jest dla mnie specjalnie odrażający. To tak, jakbyśmy przyznali, że w rozumny i kulturalny sposób mamy traktować tylko niektóre, nieliczne obszary, gdy na innych ma wszechwładnie panować barbarja. Nie mam też nadziei, by w takich warunkach te nieliczne wyspy ostały się pośród powszechnego morza barbarzyństwa. Kandydaci zaś na „pomniki przyrody" zbyt wielkich wymagają obszarów, zbyt mało liczą się z różnemi pomysłami ludzkiemi, mającemi nawet na względzie ich bezpieczeństwo i dobry byt, by mogli się zadowolić różnemi rezerwatami i dać się utrzymać w oznaczonych zgóry miejscach. Nie sądzę też, by na niewielkich, kilka tys. ha obszarach mogła mieć miejsce swobodna gra sił przyrody. Może ona mieć miejsce, choćby w niezupełnie czystej postaci, raczej na wielkich obszarach. Nie mam także zaufania do dobroczynnej, selekcyjnej roli drapieżników. Pilnują one raczej, aby na obszarach ich działalności nic żywego nie pozostało. Kilka wilków potrafi w ciągu zimy wyniszczyć piękny zwierzostan sarni na przestrzeni kilkunastu tysięcy hektarów. Drapieżniki literalnie dziesiątkują młodzież, nie zwracając uwagi na jej przydatność do dalszej hodowli. Mają one naogół tak szaloną przewagę nad swemi ofiarami, że biorą swobodnie każdą sztukę, którą tylko zechcą. Biedne ich ofiary w obronie już nie indywidualnej, lecz swego gatunku, potrafią przeciwstawić im tylko — liczbę i szybkie rozmnażanie się. To też, nie rzucając bynajmniej hasła zagłady drapieżników, uważam, że należy je trzymać krótko. Ostatnich łosi w niektórych rewirach nie uważam za właściwe pozostawiać na pastwę wilkom.

Tak więc, czy inaczej, jak wspomniano wyżej, na każdym terenie gospodarkę łowiecką prowadzić trzeba.

Kto jednak ma tę gospodarkę prowadzić? Czy myśliwi, którzy już niejednokrotnie wykazali, że powierzoną sobie faunę od zagłady potrafią uchronić, czy nieznani bliżej gospodarze przyszłych rezerwatów, według niezawsze wyprobowanych metod?

Prof. Domaniewski myśliwym nie dowierza. Twierdzi, że większości z nich chodzi jedynie o jak najintensywniejszy odstrzał. Nie przeczę, że wielu myśliwych pod względem swych upodobań i odczuć myśliwskich nie stoi na pożądanym poziomie. Ale prof. Domaniewski zapomina, że pojedyńczy myśliwi na terenie naszych puszcz czy przyszłych rezerwatów samodzielnie nie występują. Że czynne są na tych terenach liczne już dzisiaj kółka łowieckie, znane oddawna ze swej działalności, umiejące trzymać swych członków w ryzach i stanowiące rzeczywiste koła ochrony fauny w tych lasach. Jeśli się weźmie pod uwagę coraz polepszające się stosunki i współdziałanie tych kółek z administracją lasów państwowych, to sprawa losów fauny puszcz naszych bynajmniej nie przedstawia się źle. Należy też mieć na względzie, że kółka te dostarczają poważnych środków administracji lasów państwowych na utrzymanie zwierzostanów, zadowalając się jednocześnie doprawdy bardzo małym odstrzałem. Jak się robi ochronę przyrody na tej drodze, niech posłuży następujący przykład:

Nadniemeńskie kółko łowieckie wydzierżawiło rewir, będący jednocześnie jedną z ważniejszych ostoi łosi. Jak sobie poradziła Dyrekcja wileńska i zarząd kółka, aby łosiom nie stała się krzywda! Otóż Dyrekcja wyłączyła oczywiście łosie od odstrzału, nadto zaś zobowiązała kółko do utrzymywania dwóch stróżów, których specjalnem zadaniem ma być ochrona łosi. Reszta została załatwiona w drodze porozumienia z p. nadleśniczym Jankowskim, gorliwym opiekunem łosi. Na dotyczącym terenie zostało zakazane: zbieranie jagód, grzybów, a nawet siana, a także wypas bydła. Zarząd kółka w ciągu miesiąca września zabronił wyjazdu na ten teren członkom kółka, aby nie niepokoić łosi w czasie rui.



Z miotu w „Zawalonym Lasku". Fot. inż. W. Gordziałkowski.

Kółko zakupiło sznury, aby toczyć wojnę z wilkami, mogącemi być niebezpiecznemi dla łosi. Polowania uprawia w sposób nie niepokojący łosi. Słowem zapewniono łosiom wszystko, co potrzeba, a nadto znaleziono na to środki. Podobnie dzieje się na innych terenach, dzierżawionych przez Wileńskie Towarzystwo Myśliwskie, Koło Miłośników Łowiectwa, Poleskie Tow. Myśliwskie i inne. Wszystkie one łożą

w miarę możności, duże koszty na zapewnienie potrzebnych warunków egzystencji przedstawicielom naszej specjalnie wartościowej fauny i obchodzą się z niemi bardzo oględnie.

Wyniki — zwierzostan głuszców doprowadzony do niebywałego, conajmniej pięciokrotnie liczniejszy, niż przedwojenny i to na wszystkich bez wyjątku terenach, łosie uratowane od zagłady (jest ich obecnie w Polsce około 400 sztuk, gdy przed 10 laty było ich najwyżej 50, vide art. prof. Gieysztora) i na najlepszej drodze do dalszej, w coraz spieszniejszem tempie postępującej rozmnoży, a i drapieżnikom, o które tak chodzi prof. Domaniewskiemu, źle się nie dzieje. Ogólnie zwierzostan na tych terenach stale się podnosi, a „niełowna" fauna zażywa absolutnego spokoju.

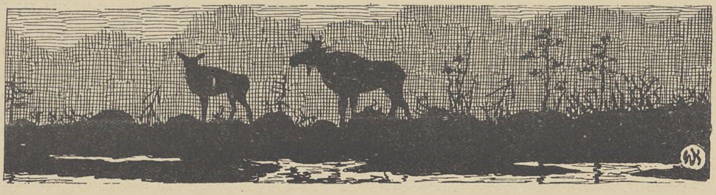
Czy takie tereny nie są już dzisiaj rezerwatami, mniej lub więcej dobrze prowadzonemi.

Czy w tych warunkach potrzeba szukać nowych dróg i nowych bogów? Co one dać mogą? A wreszcie, gdzie znajdą się środki na pokrycie związanych z tem wydatków?

Sądzę, że świat myśliwych w tych warunkach każdą dobrą radę, pomoc i współdziałanie chętnie przyjmie, a z leżących na nim obowiązków utrzymania naszej, coraz mniej, dzięki jego dotychczasowym wysiłkom, zagrożonej fauny, wywiązać się potrafi i wyręczyć się w tym względzie nikomu nie pozwoli.

Zwycięsko trzymanego w naszych rękach sztandaru Ś-go Huberta wydrzeć sobie nie damy!

WALENTY GARCZYŃSKI.



NOWE METODY HODOWLI KUROPATW I BAŻANTÓW.

Jest rzeczą wiadomą, że kuropatwa należy do gatunków, żyjących w monogamji, łączących się na okres godowy w pary. Wynika z tego, że stosunek płci w łowisku jest idealny wówczas, gdy na jednego koguta wypada jedna kura. Niestety, hodowcy nasi przeważnie nie zwracają na to uwagi, rezultatem czego jest, że w łowiskach z nastaniem pory godowej stosunek ilości kogutów do ilości kur jest niewłaściwy. Zwykle kogutów jest znacznie więcej, a zdarza się nawet, że stosunek ten wynosi 3 do 1.

Niewątpliwie głównym powodem tego jest wylęganie się większej ilości samców niż samic. Możnaby z tego wyprowadzić wniosek, że w naturze, tam gdzie człowiek nie ingeruje, stosunek kogutów do kur winien być zawsze nienormalny. W rzeczywistości tak nie jest. Tam, gdzie człowiek nie stara się poprawić przyrody, ten nienormalny początkowo stosunek płci ulega następnie regulacji. Mianowicie o ile przez wiosnę, lato i wczesną jesień koguty i kury są narażone mniej więcej w tym samym stopniu na niebezpieczeństwo, o tyle później stosunki zmieniają się bardzo wyraźnie na korzyść kur. Jaskrawiej ubarwiony, większy, a przedewszystkiem znacznie ruchliwszy kogut daleko bardziej rzuca się w oczy i z tego względu jest przedewszystkiem narażony na ataki ze strony drapieżników. Natura nie robi błędów. Jeśli więc wytwarza tam, gdzie to się wydaje zbytecznem, większą ilość samców, to samce te zgóry niejako przeznaczone są na zagładę. W rezultacie na określonym terenie z wiosną stosunek płci jest mniej więcej normalny.

Tam, gdzie człowiek tępi drapieżniki, usuwając tem samem jeden z czynników koniecznych do równowagi w przyrodzie, tam równowaga ta zostaje naruszona. Jastrząb gołębiarz niszczy przez zimę mniejszą lub większą ilość kuropatw, niszczy jednak przedewszystkiem te osobniki (samce), które dla dalszej hodowli nie przedstawiają większego znaczenia. Krótko mówiąc zupełne usunięcie z łowiska czynnika, regulującego stosunek płci, odbija się na dalszej hodowli niepomyślnie.

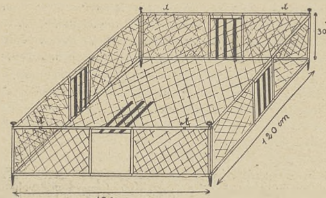
Jaki rezultat daje nadmierna ilość kogutów w łowisku? Poprostu fatalny. Samotne koguty, którym zabrakło kur, starają się odbić takowe szczęśliwym wybrańcom. To też, szczególniej w początkach okresu godowego, toczą się w łowisku nieustanne walki. Panuje niepokój, który połączonym parom nie pozwala należycie wykonać swego powołania. Zaloty i wywoływanie bójek przez koguty samotne — oto powody opóźnienia w składaniu jaj oraz zmniejszenia ich ilości. Niezależnie od tego pary, niepokojone w łowisku, wynoszą się gdzieindziej i są dla łowiska stracone.

Jeśli po przychylnej dla lęgów wiośnie i pogodnem lecie, polując jesienią, spotykamy stadka różnego wieku, przytem stadka niewielkie, to mamy nieomylny dowód, że w łowisku jest nadmiar kogótów.

W jaki sposób można uregulować u kuropatw stosunek płci w łowisku? Najprostszym sposobem byłoby naturalnie odstrzeliwanie zbytecznych kogutów. Rozpoznawanie kogutów w locie jest jednak rzeczą bardzo trudną, wymagającą dużej rutyny

i w praktyce dałoby się uskutecznić dopiero wtenczas, gdy polowanie na kuropatwy jest już zamknięte.

Pozostaje więc jeden tylko sposób — wyłapywanie nadmiernej ilości kogutów i eliminowanie ich z łowiska, jeśli nie zupełnie, to przynajmniej na ten czas, w którym są one tam niepożądane.



Ryc. 1.

Niewątpliwie najlepszym sposobem zdobywania żywych kuropatw jest łapanie ich w samołówki. W Nr. 7 za rok 1928 „Wild und Hund" podaje Hegendorf opis takiej samołówki. Opisany typ znany jest zresztą oddawna, poprawka Hegendorfa polega na tem że samołówka jego jest składana. Ułatwia to z jednej strony jej transport, z drugiej zaś przy przewożeniu nie zwraca zbytniej uwagi osób niepowołanych.

Samołówka taka (patrz ryc. 1) składa się z 9 części: czterech kołków, czterech boków i przykrycia. Może ona być wykonana z drzewa, niewątpliwie jednak daleko praktyczniej jest wykonać ją z żelaza, czego podejmie się każdy wiejski kowal. Jak to widać na rycinie 2-ej, każdy kołek zaopatrzony jest w zawiasy, na które zakłada się pierścienie, przymocowane do boków. Górne zawiasy winny mieć nacięte gwitny tak, by całość, po złożeniu, można było umocnić przez nakręcenie odpowiednich mu terek.

W każdym boku znajdują się zwisające swobodnie drzwiczki, skontruowane w ten sposób, że za lękkiem naciśnięciem otwierają się one, ale tylko do wewnątrz. Część, przykrywająca pułapkę od góry, winna być składana na pół, co na rysunku nie jest zaznaczone.

Wyjmowanie kuropatw z tej samołówki połączone jest z pewnemi trudnościami. Ułatwienie stanowi ruchoma ścianka (patrz ryc. 3). Porusza się ona na dwu metalowych prętach, które wsuwamy do odpowiednich otworów (patrz ryc. 1, x) dwóch boków samołówki. Normalnie deska ta winna być uniesiona wgórę i przywiązana do siatki przy pomocy sznurka, który jest przytwierdzony u dołu. Gdy chcemy wyjąć kuropatwy z samołówki, opuszczamy ściankę i przy pomocy sznurka, przytwierdzonego w jej środku, ściągamy ją do jednego boku pułapki. W ten sposób zmuszamy schwytane ptaki do zgromadzenia się na niewielkiej przestrzeni, skąd już z łatwością możemy je wydobyć.

Daleko praktyczniej est jednak przepędzić kuropatwy do przenośnej skrzynki, boki której wykonane są z drzewa i płótna (patrz ryc. 4). Jeden z boków ma kształt szybra. Chcąc wydostać kuropatwy z samołówki, przystawiamy tę skrzynkę do jednego z otworów (tak, jak to właśnie przedstawiono na ryc. 4) i przyciągając ruchomą ściankę zmuszamy je do przejścia, poczem zasuwamy szyber.

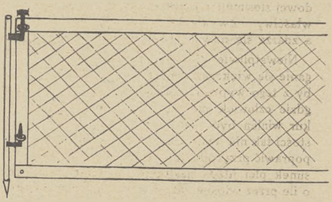
Samołówkę zastawia się w miejscach zasypywania pokarmu, początkowo otwartą zupełnie, później z opuszczonemi drzwiczkami. Kuropatwy, przyzwyczajone do pobierania pokarmu, a następnie do pobierania go z samołówki starając się dostać do takowego, wchodzą do pułapki przemocą, a po opadnięciu drzwiczek wydostać się już nie mogą.

Nie można naturalnie dość silnie podkreślić potrzeby odpowiedniej opieki nad zastosowaną samołówką. Winna ona być jak najpilniej strzeżona przed kłusownikami, a złapane kuropatwy winny być wyjmowane conajmniej dwa razy dziennie.

Przy pomocy takich samołówek możemy w ciągu zimy wyregulować stosunek płci w łowisku niemal z zupełną dokładnością.

Jednak i wiosną, wówczas gdy karmy się już nie zadaje, można również z zupełnem powodzeniem wyłapać nadmiar kogutów. Trzeba jednak mieć zawczasu przygotowane kury (samice kuropatw) oraz specjalną klatkę, taką, jak widzimy na rycinie 5-ej. Zamknąwszy kurę do klatki, wstawiamy takową do samołówki. Kura pozostawiona w spokoju, zaczyna wabić, ściągając w ten sposób koguty do potrzasku. Na każdą samołówkę należy mieć dwie kury, tak, by mogły one pełnić swą służbę na zmianę co drugi dzień.

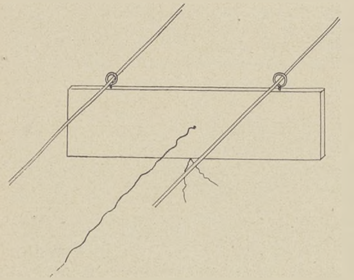
Koguty, które się usuwa z łowiska, winny być trzymane w woljerach (patrz ryc. 6). W braku woljery można je przetrzymać w chłodnej izbie. Izba taka musi być naturalnie odpowiednio zabezpieczona przed szczurami. Okno trzeba obić gęstą siatką, a poniżej sufitu, zawiesić trzeba, szczelnie przybijając ją do ścian, płachtę, a to w tym celu, by podlatujące ptaki nie rozbijały się o sufit. Podłoga winna być wysypana możliwie grubo piaskiem, który należy w ciągu zimy zmienić kilkakrotnie. Wzdłuż ścian umieszcza się gałęzie drzew iglastych, a w kątach luźne snopki zboża. Pamiętać trzeba, by ptaki miały zawsze świeżą wodę, którą w czasie mrozu zastępuje się śniegiem.



Ryc. 2.

Przy silnych mrozach można izbę trochę podgrzewać, uważając jednak, by wahania temperatury nie były zbyt wielkie.

Przejścia od kilkunastostopniowego mrozu do kilkunastu stopni ciepła mogą się odbić na ptakach fatalnie. W normalne zimy nie trzeba zresztą izby ogrzewać zupełnie. Im izba jest większa i im jest szersza, tem lepiej. Jako karmę zadajemy poślad, krajane buraki, marchew i możliwie jaknajczęściej zieleninę, najlepiej jarmuż.



Ryc. 3.

Koguty, przetrzymane do wiosny, oddają później znaczne usługi w hodowli. A mianowicie bardzo często w czasie lęgów, przy koszeniu, znajduje się gniazda kuropatw. Na gniazda te należy zwracać baczną uwagę i jeśli istnieje choćby minimalne prawdopodobieństwo, że gniazdo pozostawione ulegnie zniszczeniu, należy jaja zabrać do domu i tam podłożyć pod kurę domową. Odpowiednią ilość nasiadek trzeba sobie zawczasu przygotować.

Lepiej jeszcze jest nie czekać na przypadkowe odkrycie gniazd. W czasie, gdy składanie jaj przez kuropatwy jest już ukończone, a to mianowicie zaraz, gdy zaczną one wysiadywać, dobrze jest przeszukać z dobrym wyżłem te miejsca, które z jakichkolwiek powodów mogą przedstawiać niebezpieczeństwo dla lęgów. Z miejsc takich należy jaja zabrać.

Znalezione jaj należy możliwie jak najprędzej przenieść do domu i natychmiast podłożyć pod nasiadkę, aby nie uległy przeziębieniu. Jaja, których kuropatwy nie zaczęły jeszcze wysiadywać, mogą przeleżeć kilka dni bez szkody. O zalęgnięciu się jaj można się przekonać, rozbijając jedno. Uważam jednak, że jest to zupełnie niepotrzebne. Najlepiej jest znalezione jaja natychmiast poddać wylęganiu. Zamiast kur dużo lepiej jest stosować wylęgarnie.

Jaja należy przenosić jak najostrożniej, ułożywszy je w koszyczku, wysłanym piórami, w ten samem położeniu, w jakiem znajdowały się w gnieździe.

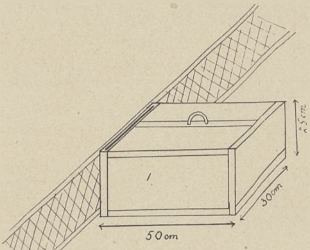
Gdy młode kuropatwy wylęgną się, co ma miejsce 21 dnia, licząc od początku wysiadywania, oddajemy je pod opiekę jednego ze złapanych kogutów. Nie powinno się dawać jednemu kogutowi więcej, niż 12 — 15 piskląt.

Do przeprowadzenia próby, czy kogut zaadoptuje pisklęta, nadaje się najlepiej odpowiednio skonstruowana skrzynka. Winna ona mieć 50 cm. długości, 30 cm. szerokości i 25 cm. wysokości. W połowie długości skrzynka winna być przedzielona siatką, przez którą mogłyby przechodzić młode kuropatwy, któraby jednak nie przepuszczała koguta. Siatka ta, urządzona na sposób szybra, winna być zasuwana od góry. Drzwiczki skrzynki oraz boki należy wykonać z gęstej siatki, względnie tylko drzwiczki i przeciwległa ścianka mogą być z siatki, pozostałe ścianki, dno i wierzch mogą być drewniane.

Do tylnego przedziału wpuszczamy koguta, zasuwamy szyber, poczem do przedniego przedziału wpuszczamy młode kuropatwy. Zamykamy drzwiczki, usuwamy się na bok i czekamy spokojnie jak zachowa się kogut. Jeżeli zawabi, to znaczy, że przyjął opiekę nad młodemi. Jeśli nie reaguje, to otwieramy skrzynkę, by młode mogły wyjść nazewnątrz. Stanowi to bodziec dla koguta, który zwykle natychmiast zaczyna wabić. Tak więc próba jest dokonana. Wyjątkowo tylko zdarza się, że kogut nie chce adoptować piskląt. W każdym razie jego wabienie jest niezawodnym znakiem, że podjął się on opieki nad młodemi.

Skrzynkę przenosimy teraz do łowiska. Stawiamy ją w krzakach na ziemi, otwieramy drzwiczki i podnosimy szyber. Ukrywszy się śpiesznie, czekamy aż młode i kogut wyjdą. Naturalnie kuropatwy należy wypuszczać w miejscach, odpowiednio wybranych, nadających się pod każdym względem do dalszego bytowania stadka. Wypuszczać należy w dnie pogodne. Jeśli jest słota, to lepiej nawet kilka dni poczekać, a nie narażać piskląt na fatalne dla nich skutki deszczu.

Po wyjściu z klatki kogut zaraz zaczyna zwabiać ku sobie młode. Jeśli nawet początkowo oddali się od nich, nie należy się tem przejmować, wróci bowiem do nich po chwili.



Ryc. 4.

Trzymanie koguta z młodemi w domu przez kilka dni, w celu przyzwyczajenia go do przybranych dzieci, jest zupełnie niepotrzebne. Z chwilą, gdy kogut, jak to wyżej opisano, zawabi, można mu zaraz

pisklęta dać pod opiekę. Jeśli więc pogoda jest odpowiednia, można wypuszczać pisklęta w dniu ich wylęgania się.

Koguty kuropatw mają tak wielką wartość nietylko przy hodowli kuropatw. Zupełnie tak samo możemy je wykorzystać przy hodowli bażantów.

Wiadomem jest, jak kosztowną, wymagającą wiele umiejętności, starań i ostrożności w postępowaniu jest hodowla bażantów. Wiemy, jak znaczny procent młodych bażantów ginie. Jakiekolwiek zaniedbanie w karmieniu lub epidemja, niszczą niejednokrotnie cały przychówek co do nogi.

Otóż doświadczenia, przeprowadzone przez wspomnianego wyżej niemieckiego hodowcę H e g e n d o r f a, wskazują nam takie metody, przy których wszystkie te trudności i klęski odpadają. Jeśli dalsze doświadczenia potwierdzą wartość pierwszych, to hodowla tych wysokowartościowych ptaków łownych wejdzie na zupełnie nowe drogi.

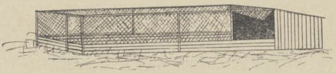
Jak zawsze, tak i przy tej metodzie, ważną rzeczą są dobre jaja. Na jaja bażancie, tak samo, jak na jaja innych ptaków, transport wpływa fatalnie, przyczem rzadko kiedy mamy pewność, że są one dostatecznie świeże.

Najlepsze niewątpliwie są jaja zbierane na miejscu hodowli, w łowisku. Na drugiem miejscu należy postawić jaja zniesione na miejscu hodowli w woljerach, na trzeciem dopiero jaja sprowadzane. Naturalnie tam, gdzie niema bażantów, lub gdzie jest ich bardzo mało, zbieranie w lesie odpada. Pozostaje sposób drugi lub trzeci. Jeśli jednak hodowlą bażantów chcemy się zająć poważnie, jeśli mamy zamiar przez szereg lat wpuszczać do łowiska coraz to nowe ich ilości, to bezwarunkowo winniśmy pobudować woljery. W stosunku do sprowadzanych jaj, amortyzują się one prędko, dając jednocześnie gwarancje bez porównania lepszych jaj.



Ryc. 5.

Miejsca na woljery winny być możliwie suche, najlepiej piaszczyste, ze spadkiem na wodę deszczową. Rycina 6-a objaśnia dość dobrze budowę woljery. Uzupełnić ją tylko należy objaśnieniem, że wewnątrz siatki winno się znajdować zawsze kilka krzaczków. Siatka boczna winna się składać z drutu cynkowanego o oczkach dwucentymetrowych, górą zaś najlepiej jest dać siatkę czterocentymetrową ze sznurka, i impregnowanego na gorąco olejem lnianym. Bardzo często buduje się szereg woljer bezpośrednio jedna obok drugiej, przez co oszczędza się szereg ścian. Woljery takie wypadają naturalnie znacznie taniej, z wielu jednak względów polecić należy budowanie woljer pojedyńczych, oddalonych od siebie. Długość woljery winna wynosić 6 do 8 metrów, wysokość 1 m. 30, szerokość 3 — 4 metry.



Ryc. 6.

Do takiej woljery wpuszczamy wiosną 5 kur i koguta. Karmimy je intensywnie ziarnem (pszenica, jęczmień, kukurydza, proso, gryka) z dodatkiem buraków i zieleniny. Naturalnie pamiętać należy, by ptaki miały zawsze świeżą wodę. Zresztą nie rozpisuję się tu na temat postępowania z bażantami w woljerze, oraz wylęgania jaj. Szczegóły te można znaleźć w każdym podręczniku łowiectwa lub w książkach, poświęconych specjalnie hodowli bażantów.

Jaja, znoszone w woljerach, wybieramy mniej więcej do 15 maja, poczem wypuszczamy bażanty na swobodę.

Sprawa wylęgania jaj przez nasiadki, czy też w sztucznych wylęgarniach jest przy tej metodzie rzeczą drugorzędną. Jeśli jednak młode wylęgły się w wylęgarni, to musimy im przez pierwsze 24 godziny zapewnić odpowiednią ilość ciepła i opiekę, którą normalnie daje im matka lub nasiadka.

Po 24 godzinach otrzymują młode bażanty karmę, złożoną z drobno posiekanego białka jaj kurzych i zostają przeniesione do woljer. Tam otrzymują opiekę kogutów kuropatwich w stosunku 10 — 12 sztuk na jednego koguta. Koguty kuropatwy adoptują młode bażanty równie chętnie, jak młode kuropatwy. W żadnym jednak razie nie należy wpuszczać do jednej woljery więcej niż jednego koguta z odpowiednią ilością piskląt, inaczej bowiem przejęte swą rolą ptaki natychmiast rozpoczynają między sobą walki o młode.

Na trzeci dzień, używając do tego opisanej wyżej skrzynki, przenosimy młode bażanty wraz z kogutem do łowiska i w odpowiedniem miejscu wypuszczamy na wolność. Należy to jednak robić przy dobrej pogodzie. Jeśli są deszcze, to lepiej jest młode bażanty przetrzymać jeszcze kilka dni w woljerach, karmiąc je tak, jak karmi się normalnie

w sztucznych hodowlach. Im wcześniej jednak wypuścimy ptaki na swobodę, tem lepiej.

Metoda ta ma olbrzymie zalety. Przedewszystkiem więc zmniejsza koszty produkcji do minimum. Całe zabiegi od chwili, gdy młode się wylęgną, sprowadzają się bowiem do trzech dni. Następnie zaś młode bażanty, wychowując się na swobodzie i pobierając karmę naturalną, rozwijają się znacznie lepiej, są większe, silniejsze i bardziej odporne na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa.

Naturalnie, szczególniej w początkach, te okolice łowiska, w których młode bażanty są wypuszczane, winny mieć jak najstaranniejszą opiekę i ochronę.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



NASZ NAJNIEBEZPIECZNIEJSZY DRAPIEŻNIK SKRZYDLATY.

Od wielu lat i to od czterdziestu przeszło zajmuję się łowiectwem i obserwowaniem naszej fauny. Na niektóre zwierzęta zwróciłem specjalną uwagę, pomiędzy innemi na groźnego wroga naszej drobnej zwierzyny, kuropatwiarza.

Imponował mi on zawsze swoją odwagą, przebiegłością i bezczelnością, posuniętą często do lekkomyślności. Obserwując go specjalnie przez tyle lat i poznawszy jego naturę i system jego życia oraz zwyczaje, mogę powiedzieć, że bardzo często ze mną przegrywał sprawę.

Myśliwi zabijają często kuropatwiarza, nie wiedząc, co zabili, zwłaszcza w pierwszym roku jego życia. Jest on zupełnie innego ubarwienia, jak rodzice jego, koloru ceglatego, pierś ma rudą w ciemne centki wzdłuż piersi, samiec jest o $^{1}/_{3}$ mniejszy od samicy. W drugim roku dostaje on na piersi poprzeczne szary pasy, które z wiekiem zanikają. Tak po kilku latach pierś kuropatwiarza jest prawie biała, wierzchnie ubarwienie siwo-stalowe. Wobec tego, że samica jest o wiele silniejszą od samca, wyrządza ona nam więcej szkody, zwłaszcza podczas wychowywania młodych. Nie przebiera wtedy w niczem, począwszy od małej, kilkudniowej sarenki, skończywszy na maleńkim ptaszku. Wiewiórkę weźmie z drzewa, młode wrony i sójki wybierze z gniazda, bije gołębia, kuropatwę, bażanta, cietrzewia w lot i na ziemi, kaczkę zbierze z wody, za drobiem wpadnie do budynków i zabiera, wziąłby i z ognia, kiedy głodny. Ogółem bierze kuropatwiarz wszystko to, co pokonać może, lecz ma i swoje specjalności. Jeden bije w lot gołębia, kuropatwę, cietrzewia, bażanta, drugi — zająca, króliki i drób, ma wielką wytrwałość i cierpliwość i czyści systematycznie tak łowisko, jak i podwórze chłopskie.

Opiszę tutaj kilka zdarzeń, które z nim miałem:

Kilka lat temu polowałem na Wołyniu z podjazdem na cietrzewie. Strzelam, zszedłszy z wózka, ze sztucerka małokalibrowego do koguta. Nie uszedłem od pojazdu ani dziesięciu kroków, kiedy z boku wynurzył się kuropatwiarz i zabrał mi zabitego koguta, pociągnął z nim nisko nad ziemią w małą kępę krzewów i tam rozpoczął swoje śniadanie. Wróciłem do wózka po śrutówkę i podszedłem pod ową kępę krzewów. Widziałem go już przy robocie, skubał mego koguta, a pęki pierza wiatr unosił. Nie chcąc go strzelać na ziemi, aby na parę kroków koguta nie rozstrzelić, gwizdałem, płoszyłem go, aby się zerwał, lecz nie chciał, zanadto był zajęty i dopiero, kiedym rzucił kawałkiem drzewa, które go prawie w łeb uderzyło, zerwał się, trzymając koguta w szponach. Wtedy już nie było co czekać. Strzeliłem i zlikwidowałem ten nieczysty interes, otrzymał odpowiednią karę za swój złodziejski czyn. Była to młoda, silna i jeszcze ruda samica.

Dużo polowałem na Podkarpaciu na wabika na lisy, na skrzek zająca, osiągając tym sposobem nadzwyczajne rezultaty. W tym celu wybudowałem w całym lesie na głównych przesmykach kilkadziesiąt ambon, z których się z czerwonymi rabusiami rozprawiałem.

Pewnego pięknego dnia listopadowego udałem się z gajowym do lasu, aby szczęścia popróbować. Wszedłem na ambonę, posłałem gajowego, aby obserwował, czy jaki lis nie przyjdzie.

Miałem małokalibrową sztucerówkę (buchsflintę). Zawabiłem raz, lecz bez skutku, kiedym drugi raz zawabił, woła gajowy ze swej ambony: „pilnuj górę"! I moje zdziwienie! Z największym rozpędem wpada mi formalnie wprost na ramiana kuropatwiarz z wyciągniętemi szponami ku mnie i dopiero, kiedy zauważył mój ruch, stanął w powietrzu, wywrócił się na wznak, zrównał się i wywijając koziołki, chciał się z tej opresji wydostać, lecz było już zapóźno. Krótki trzask z mojej dwudziestki, kłęby pierza w powietrzu, głuche uderzenie o ziemię i koniec manewru.

Było to stara, bardzo silna samica, z urwanym, czy

odstrzelonym do połowy szponem, z prawie zupełnie białą piersią.

Polowałem kiedyś na Pomorzu na kaczki na jeziorze zarośniętem, położonem pomiędzy lasami. Stado spłoszonych przezemnie cyranek uwijało się nad jeziorem, zataczając łuki niżej i wyżej. Nagle uderzył na nie niespodzianie kuropatwiarz, cyranki nie zdążyły się schronić w trzciny i zderzenie nastąpiło na gładkiej wodzie. Ze strasznym impetem uderzyły w wodę, dały nurka, kuropatwiarz nie zdążył się zatrzymać i zanurzył się również. Zmoczony, pociągnął ciężko do następnego drzewa, gdzie po odpoczynku i oczyszczeniu się powrócił do lasu.

Podczas pięknej śnieżnej zimy wyjechałem sankami do lasu, aby z podjazdu strzelić ze sztucerka parę cietrzewi; a była ich tam niezliczona ilość. Z zachowania się poszczególnych stad, które obsiadły dębowe przestoje w zniszczonym lesie, wnioskowałem, że się coś w łowisku dzieje. Stada przeciw swemu zwyczajowi nie dotrzymywały, pomimo zachowania wszelkiej ostrożności z mej strony, siedziały na drzewach z wyciągniętemi szyjami i gdakały. O podjeździe tego dnia, pomimo sprzyjającej pogody, nie było mowy. Sprawa się zaraz wyjaśniła. Gdzieś zdaleka ujrzałem jakąć czarną chmurkę, która się ku mnie zbliżała i wkrótce rozpoznałem stado cietrzewi, pędzone przez kuropatwiarza, dwa inne zabiegały im drogę z boku. Udało im się też zmieszane stado rozbić i zdaje się, że każdy z nich wziął cietrzewia. Pozostałe stada, siedzące na drzewach, schroniły się momentalnie w zarośla. Podczas takiej nagonki zwykle kury, które są słabsze, padają ofiarą.

Miałem w lasach liściastych, które nie miały podszycia, duże bagna, porośnięte wysokiem sitowiem i trzciną. Duże śniegi je przygniotły, w ten sposób wytworzyły się formalne tunele, w których nasz szarak miał ciepłe i pewne schronisko.

Pomimo wysokiego śniegu, wybrałem się pieszo do lasu. Idąc drogą obok bagna, słyszę znany mi świst kuropatwiarza. Pośpieszyłem nad brzeg bagna i widzę kuropatwiarza, który tuż nad bagnem krąży i śwista. Manewr ten nie odniósł skutku, szaraki siedziały twardo i bezpiecznie. Zabrał się więc rabuś do lepszego systemu. Opuścił się tak nisko nad trawy, że mógł je skrzydłami trącić, uderzał więc skrzydłem i trawę i przytem świstał przeraźliwie.

Skutek był nadzwyczajny. Po kilkunastu sekundach wybiegł już szarak, jastrząb wbił mu szpony w grzbiet i pojechał na nim, skrzecząc przeraźliwie. Biedny szarak, widocznie myśląc, że przez szybki bieg oswobodzi się od swego wroga, wydostał się na drogę, lecz jastrząb czując się tutaj swobodniejszym, tem silniej zapuścił w grzbiet swe szpony, pojechał na nim drogą paręset kroków i tak mi zniknęły w gąszczu. Jeszcze kilka przeraźliwych krzyków i potem cisza.

Podbiegłem ostrożnie do tego miejsca, jastrząb się zerwał, nie zdążyłem do niego strzelić. Zając miał przy przednich łopatkach grzbiet rozszarpany i łeb dziobem rozbity.

Nie dałem za wygraną. Znając naturę naszego rabusia, wiedziałem, że choć spłoszony, powróci on po krótkim czasie do swej zdobyczy. W każdym rewirze miałem zachowane, pod znaczniejszem drzewem we mchu i igliwiu, pułapki talerzowe, prócz tego w każdej budce myśliwskiej. Na szczęście, do najbliższej takiej stacji nie było dalej, niż kilometr, zabitego zająca zakryłem gałęziami i pośpieszyłem po pułapkę.

Kiedym powrócił, krążył nad swoją ofiarą i świstał, lecz się do niej nie dobrał. Usunąłem gałęzie, postawiłem pułapkę, grzbiet zająca przycisnąłem do grubego drzewa, połapkę umieściłem pod żebrami, poniżej przednich łopatek, posypałem je igliwiem i cienko śniegiem, odbezpieczyłem i odszedłem. Po dwóch godzinach, wracając z obchodu lasu, uwolniłem rabusia od męczarni. Straszna maszyna chwyciła go wyżej szponów, miażdżąc mu kości.



Żołudzkie odyńce. Fot. R. ks. Czetwertyńska.

Na Podkarpaciu miałem wśród niebotycznych, bukowych i jodłowych lasów piękną osadę. Knieja piękna i urocza, lecz pod względem łowiectwa zaniedbana w całem tego słowa znaczeniu. Lisy brały mi drób w jasny dzień z przed progu, przeskakując niski płot. Kuropatwiarze oczyściły mi podwórze z drobiu i gołębi.

Sprowadziłem rasowe ciężkie gołębie, których byłem miłośnikiem, lecz się żadnego dochować nie mogłem. Nie chcąc się tej przyjemności pozbyć, kupiłem gołębie rasowe, maleńkie i bardzo lotne, które były bardzo oswojone.

Rano je osobiście wypuszczałem z gołębnika, lecz nabitą fuzję trzymałem w ręce.

Jak piorun z pogodnego nieba uderzył na nie jastrząb, lecz zwykle była jego przegrana, dwa razy spadł zabity kuropatwiarz na dach domu mieszkalnego, raz wpadł za gołębiami przez otwarte drzwi do obory i tam go żywcem dostałem, a kiedy pewnego razu rozbił mi moje stado gołębi i w chmurach za niemi gonił, gołębie na gwizdek upadły mi na podwó-

rze, pod nogi, jastrząb tuż za niemi, lecz była to ostatnia jego wycieczka.

Śmiało mogę powiedzieć, że wiele dziesiątków tych rabusiów ubiłem, lecz więcej ich wychwytałem w pułapki i samotrzaski, a ponieważ jastrząb jest żarłoczny i krwiożerczy, łatwa z nim stosunkowo rozprawa.

Jako środek radykalny jego tępienia, podaję pułapkę systemu Pehlow'a, z żywym gołębiem, króra jest szerokim kołom myśliwych znana. Lecz tutaj muszę z błędu wyprowadzić tych myśliwych, którzy sądzą, że tylko żywy gołąb odda nam jedyne usługi.

W pułapki te wsadza się tego ptaka wypchanego, który dominuje w danem łowisku. W łowiskach, gdzie kuropatwiarz niszczy kuropatwy, wsadza się w kosz Pehlow'a wypchaną kuropatwę, w bażancich wypchanego bażanta, cietrzewich — cietrzewia i t. d., zaś wypchany pstry gołąb zawsze jest dobry. Choć przy 4 — 5 stopniach mrozu i wietrze, każde stworzenie żywe z powodu braku ruchu i zamarznięcia wody musi zginąć, zimą, kiedy nam jastrząb największą szkodę wyrządza, stałyby pułapki bezczynne, a szkoda każdej godziny. Od 1 października do 18 stycznia, więc przez trzy miesiące chwyciłem w cztery pułapki, w których umieściłem wypchane cietrzewie i postawiłem na starych dębowych przestojach, ucinając im czubki (w wysokości 6 — 7 m) 47 kuropatwiarzy.

Lecz pułapki tego systemu stawia się na równinach, na ziemi, w strzyżonych remizach, na palu, który wystaje o jakie 60 cm. ponad remizę, w polach też na większym kamieniu lub kopcu, z ziemi usypanym. Prócz tego można kuropatwiarze chwytać w pułapki kopcowe.

Wbija się pal w jesieni w ziemię, obsypuje go się ziemią i stawia pułapkę, którą się gwoździem, sznurkiem lub łańcuszkiem do pala przymocowuje. Kopce zakłada się na równych polach, w oddaleniu od drzew, krzewów lub kamieni, nie wyższe nad 1 m.

Wobec takiego szkodnika, nie jest też grzechem tępić go przy gnieździe i to w tym czasie, kiedy już młode z gniazda widać. Należy tedy urządzić niedaleko gniazda budkę, odczekać aż stara samica przyniesie młodym żer, odczekać aż samiec przyjdzie, gdyż po zabiciu samicy samiec 2 — 3 dni młode odżywia a potem z młodemi zrobić porządek.

Na razie tyle o kuropatwiarzu i jego tępieniu.

T. METZIG, nadleśniczy.



ZBIORY BEZ CENY.

Czytelnicy „Łowca Polskiego" niejednokrotnie spotykają się na łamach naszego tygodnika z nazwiskiem, które musiało zwrócić na siebie uwagę.

Nazwisko to widnieje częstokroć jako podpis, pod artykułami i wzmiankami przeróżnej treści, z łowiectwem ściśle związanej, a więc z dziedziny wydawnictw łowieckich, historji łowiectwa polskiego, polskich zwierzyńców, a także o zanikających gatunkach zwierzyny łownej, dawnych sposobach polowania, broni myśliwskiej, psach myśliwskich, słowem z wielu różnych dziedzin.

Nazwisko to brzmi: kpt. Józef Władysław Kobylański.

Skąd zaś jeden człowiek czerpie wiadomości do ciekawych swych prac, tak różnych co do tematu, a tak wiążących się z sobą?

Odpowiedź na to znajdziemy, zaznajamiając się w ogólniejszych przynajmniej zarysach z materjałem, jakim on rozporządza i jaki wciąż wytrwale wzbogaca, choć nie przychodzi to z łatwością, w dzisiejszych właszcza czasach.

Zbiory kpt. Kobylańskiego — to nietylko obszerna bibljoteka, w której znaleźć można mnóstwo cennych dzieł, traktujących o wszystkiem, co z łowiectwem ma związek.

Prócz wielu głośnych książek, znajdujemy tam nierzadko „białe kruki", które posiadają olbrzymią wartość bibljograficzną. Książki po większej części zabezpieczone są od zniszczenia trwałą oprawą, która zwiększa ich wartość.

Wśród zbiorów widzimy mnóstwo czasopism łowieckich, wydawnictw perjodycznych, rękopisów wszystkich niemal pisarzy łowieckich, fotografij, odbitek, druków i wzorów, rozpiętością czasu, z jakiego pochodzą, ilustrujących historję postępu bibljografji, jak również kultury łowieckiej polskiego społeczeństwa.

Na specjalną uwagę zasługują broszury, wydane, jako manuskrypty, w kilku, lub kilkunastu egzemplarzach i przez autora i wydawcę w jednej osobie rozdane między uczestników polowania. Broszury te pochodzą z różnych czasów i stron Rzeczypospolitej, zawierają opisy polowań, panegiryki na cześć zna-

komitych gości i odbite są litograficznie lub drukiem nawet. I to są prawdziwe „białe kruki", jakich nie mają ani bibljoteki państwowe, ani księgozbiory prywatne.

Z pośród 1300 większych dzieł, wiele wzbudza szczególne zainteresowanie zwiedzających, swą szatą zewnętrzną, treścią, rodzajem druku. Z najstarszych — wymienić tu trzeba dwie hippiki Dorohostajskiego, pochodzące z lat 1603 i 1646 (światowej sławy bibljograf, prof. K. Estreicher, podaje, że dwie tylko bibljoteki w Polsce książkę tę, w wydaniu z r. 1603, posiadają).

Zagadnienia, dotyczące hodowli specjalnego typu konia myśliwskiego — w dawnych czasach ściśle łączyły się z myślistwem. Koń tego typu długo był nieodłącznym towarzyszem myśliwego. Dziś w Polsce — o polowaniach konno słyszy się nader rzadko i zazwyczaj tylko — razem z chartami. Ten piękny rodzaj polowania coraz częściej dziś otrzymuje nazwę przeżytku.

W zbiorach kpt. Kobylańskiego znajdujemy wykazy wszystkich stowarzyszeń i klubów myśliwskich, jakie w Polsce istniały i istnieją. Jest tu mnóstwo wzorów legitymacyj, statutów, regulaminów, odznak klubowych, fotografij. Z każdym dniem przybywa materjału, który z miejsca ulega właściwej segregacji.

Widzimy tu dalej drugą niemal, oryginalną bibljotekę, na którą składają się teki z wycinkami z krajowych i zagranicznych pism codziennych, jakie kiedykolwiek zamieszczały artykuły, wzmianki i fotografje z dziedziny łowiectwa. Wycinki te, jako materjał, godny opracowania, służyć mogą za podstawę do rozpraw całych na tematy łowieckie.

Specjalne teki zapełnione są materjałem (wycinki, rękopisy, listy, fotografje), dotyczącym historji zwierzyńców w Polsce. Część materjału tego została już przez kpt. Kobylańskiego zużytkowana do artykułów i broszur jego pióra o zwierzyńcach polskich.

Trudno wyliczyć tu wszystko, co w bezcennych zbiorach kpt. Kobylańskiego się znajduje. Zgromadzony z niemałym trudem i nakładem materjał — jest podstawą do najprzeróżniejszych prac kpt. Kobylańskiego, (drukowanych oddzielnie, gdy znajdzie się odpowiedni kapitał, lub życzliwy sprawie nakładca), zamieszczanych chętnie w czasopismach łowieckich i w prasie codziennej od lat wielu.

Gdyby, wyciąć i zgrupować wszystkie artykuły i wzmianki pióra kpt. Kobylańskiego, powstałyby olbrzymie tomy o wartości bibljograficznej wogóle, a historyczno-łowieckiej w szczególności.

W „Encyklopedji" Trzaski i Everta zamieszczono 917 prac kpt. Kobylańskiego, dotyczących łowiectwa, lasu i koni.

W dwutomowej pracy Edwarda Chwalewika o zbiorach polskich — zbiorom kpt. Kobylańskiego poświęca autor specjalne omówienie.

Zbiory te służą nieraz, jako podstawa do rozstrzygnięcia różnych kwestyj z dziedziny myślistwa, o czem świadczyć może stos korespondencji kpt. Kobylańskiego z profesorami uniwersytetów polskich, literatami, fachowymi pisarzami łowieckimi, którzy zwracają się często do niepospolitego zbieracza z prośbą o źródłowe informacje.

Bibljoteka i muzealne iście zbiory — posiadają szczegółowy katalog alfabetyczny i działowy, według którego z łatwością w ogromie materjału odnaleźć można wszystko, czego w danej chwili potrzeba.

Intencję wytrwałego zbieracza odzwierciadla umieszczony na katalogu napis:

„Pragnę, by zbiór mój, służąc szlachetnej idei prastarego myślistwa ojczystego, przetrwał dłużej, niż żywot jednego pokolenia".

W dalszym ciągu napis ten ostrzega, że w trosce o utrzymanie zbioru i przekazanie go potomnym — żadna część zbiorów nie może być nikomu wypożyczona. Z całą gotowością jednak zbieracz służy każdemu informacjami i materjałem źródłowym na miejscu, u siebie w domu *).

Bibljotekę tę z niemałem zainteresowaniem zwiedzają liczni goście, a wśród wpisanych w pamiątkową księgę znajdujemy poważne osobistości ze świata naukowego.

Na karcie tytułowej księgi tej widnieje napis: „Cześć Św. Hubertowi po wszystkie czasy w raju myśliwskim mej przepięknej Ojczyzny".

Praca wytrwała, a zmudna i wprost Syzyfowa — znalazła jednak uznanie i zdobyła należytą ocenę u władz naczelnej organizacji łowiectwa w Polsce. Zarząd Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich nadał kpt. Kobylańskiemu najwyższe odznaczenie łowieckie, „Złom", za wybitne zasługi w dziedzinie bibljografji łowieckiej i historji łowiectwa polskiego.



Ze świdnickich polowań. Fot. J. Klimkiewiczowa.

Zasłużony zbieracz, nie wątpimy o tem ani na chwilę, nie spocznie na laurach, a pracę swą prowadzić będzie nadal ku chwale Św. Huberta i na pożytek łowiectwa polskiego.

Niechaj tych słów kilka otworzy kpt. Kobylańskiemu drogę do wszystkich cenniejszych księgozbiorów prywatnych, niech każdy, komu sprawy te nie są obojętne, przyjdzie mu z pomocą przy zbieraniu materjału.

Nie mające nieraz dla poszczególnych myśliwych znaczenia druki, rękopisy, fotografje, odbitki — w ręku zbieracza stanowią wartość niepomierną, a w zbiorach — łączą nieraz zerwane ogniwa łańcucha, ukutego z olbrzymim trudem.

JERZY BOKIEWICZ.

*) Żoliborz, Drużbackiej 9. — Przyp. red.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

KALENDARZ MYŚLIWSKI NA ROK 1932.

Kalendarz Myśliwski na rok 1932. Warszawa. Nakładem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Stron 384 z ilustracjami.

O piekną, jeśliby chodziło o szatę zewnętrzną, i o bogatą pod względem treści, książkę, postarał się w tym roku ruchliwy Zarząd naszego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Począwszy od artystycznie wykonanej okładki, do ostatniej stronicy jest w niej wszystko niezmiernie interesujące i konieczne, wszystkie prace bardzo potrzebne, celowo i umiejętnie rozmieszczone. Sam format Kalendarza jest również ujmujący.

Takie przykazania myśliwskie Jana Sztolcmana, które każdy myśliwy powinien umieć na pamięć, takie pouczenia o prowadzeniu polowań i wskazówki hodowlane na cały rok Feliksa Różyńskiego, wiadomości o dokarmianiu zwierzyny na wolności Stanisława Kamockiego, a nadewszystko ciekawy przegląd naszych ssaków i krajowych ptaków łownych znanego przyrodnika, prof. Janusza Domaniewskiego, budzą rzetelny podziw swojem opracowaniem popularno-naukowem.

W Kalendarzu znajdują się nadto: prawo łowieckie z 3 grudnia 1927 r., statut wzorowy spółek łowieckich, tresura psów myśliwskich, cenne wiadomości o sporządzaniu nabojów kulowych i śrutowych, o czasach rui, cieczki wszystkich zwierząt łownych i lęgów ptactwa, o prowadzeniu dziennika myśliwskiego i o wielu, wielu innych sprawach.

Pragnąłbym z duszy, ażeby ta pożyteczna książka rozeszła się w Polsce w 100.000 egzemplarzy i dotarła do wszystkich myśliwych nietylko wielkich, ale i małych, do wszystkich leśników i strażników łowieckich i poniosła na skrzydłach swoich miłych kartek wypisaną na nich złotemi głoskami etykę i kulturę łowiecką, o którą, mimo wszystko, tak jeszcze u nas trudno.

Wołam tedy na cały głos: „Kto żyw i kocha łowiectwo, niechaj Kalendarz Myśliwski kupuje"! Cena 3 zł. w porównaniu z jego wysoką wartością jest chyba mało znaczącym wydatkiem.

WŁ. GUERTLER.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W ubiegłym sezonie myśliwskim jesiennym, od 15.I.31 — 15.I.32 odbył się szereg polowań z naganką w dobrach Baszków, Sielec i Granów księcia Olgierda Czartoryskiego. W polowaniach poszczególnych brali udział pp.: arcyksiążę Karol Albrecht Habsburg, książę Gabryel de Bourbon, ks. Janusz Radziwiłł, ks. Hieronim Radziwiłł, ks. Włodzimierz Czetwertyński, ks. Roman Czartoryski, ks. Konstanty Ruspoli, księżna Izabella Ruspoli, hr. d'Ansembourg, ambasador Agüera, hr. Cornet, hr. Zygmunt Skórzewski, hr. Jan Szołdrski, hr. Stefan Tyszkiewicz, hr. Konstanty Bniński, pułkownik Morawski, p. Eryk Kurnatowski, p. Artur Borzewski, radca Poklewski, ks. Jan Drucki-Lubecki, hr. Henryk Grocholski. Ogólny rozkład ubitej przez myśliwych na tych polowaniach zwierzyny wynosi:

2.765 zajęcy, 2.768 kuropatw, 857 bażantów-kogutów, 240 królików, 4 słonki, czyli razem 6.634 sztuki.

— W maj. Dłoń, wł. księżnej Ksawerowej Druckiej-Lubeckiej, w pow. Rawicz, odbyły się polowania w dniach 7 listopada i 10 grudnia r. ub.

W pierwszym dniu polowano w 5 strzelb, w drugim — w 4 strzelby.

Ogółem padło: 468 bażantów, 345 zajęcy, 40 kuropatw, 146 królików, 1 gronostaj, razem sztuk 1004.

W polowaniach tych udział brali pp.: hr. Bnińska, O. ks. Czartoryski, K. i J. ks. Druccy-Lubeccy, J. hr. Szółdrski, hr. Tyszkiewicz, hr. Czarnecki i bar. Zedlitz.

Polowania prowadził leśniczy Jaeschke.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5-ą pop. w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

ŻYCZENIA IMIENINOWE.

Patronowi Św. Albina, Przewielebnemu Księdzu Proboszczowi A. Kroplewskiemu w Kruszynach (pow. Brodnica) w darze imieninowym wraz z życzeniami składa „Łowca Polskiego" na rok 1932

Jan Kędzierski,
łowczy P. K. M.

OGŁOSZENIA DROBNE

Kupię używane następujące książki „Królestwo Zwierząt" Brebma przełożył Rowieński. „Ptaki Krajowe" Taczanowskiego, „Ornitologja powszechna" Tyzenhauz. Ardrzej Hydel Zawiercie.

Najlepsze dla zwierzyny są remizy świerkowe. Wszelkiego rodzaju wysadki **świerka i sosny** oraz nasionie świerkowe i sosnowe z własnej suszarni o wysokiej sile kiełkowania poleca na sezon wiosenny **Nadleśnictwo Laski pow. Kępno,** woj. Poznańskie. Uprasza się o wczesne zamówienia.

Praktyki lasowej poszukuje od zaraz student leśnictwa z **wyższem wykształceniem handlowem.** Łaskawe oferty B. **Litwiński** Brzezinka. **Śląsk**

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3.00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagroda na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana—25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego: zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2,50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2.00 zł

Jana Sztolcmana: 1) **„Żubr"** — 3,30 zł., 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czernielewskiego — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy" — 3,00 zł., 2) „Polująca Pani" — 3,50 zł., 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksander Janta Połczyński — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). **„Skowronek"** — 3,60 zł. **„Kruk"** — 4,50 zł. **„Słonka"** — 4 zł.

J. W. Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy. Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1,40 zł.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15